

Marya
Rodziwiczówna. **Dewajtis**

Powieść współczesna uwieczniona na konkursie "Kuryera Warszawskiego".

(Ciąg dalszy)

Jęk czy stękanie ucichło i znowu go ogarnęła rozpacz. Ten głos, było to złudzenie rozdrażnionych nerwów. Strachu on nie znał, ale podniecenie chwilowe go opadło. Czego on tu przyszedł? Pies może zwęszył borsuka? Skąd mógł sądzić, że znajdzie w tej gąszczu oduldenj zwłoki swej ukochanej? Oszalał chyba!...

Gdy tak stał i brał już za pasek, by się dzwignąć napowrót, nagle zastygła mu krew w żyłach, pot obał skronie. Gdzieś, tam w tej głębi ohydnej, rozległ się ten sam słaby jęk, ledwie dosłyszalny. Margas na gorze skomlał coraz zajadlej.

Marek, trzymając się ściany, zrobił kilka kroków. Zęby mu szczękały...

— Kto tam? — spytał głośno, szukając zapalek w kieszeni, ale ręce mu opadły i stanął jak gromem rażony.

Z czarnej głębi dobiegł jego uszu słaby, mdlejący głos; głos zmieniony, bez srebrnego dźwięku i żywego wyrazu, ale znajomy — o! jak znajomy!

— To pan? Ja wiedziałam, że pan przyjdzie, ale... już nie mogę!...

Jęk się rozległ i grobowe milczenie.

Zapalka błysnęła w ciemności. Kilka nie- toperzy spłoszonych, musnęło go po twarzy, z gżemu u sklepienia zerwała się sowa i łopocąc okropnie, umknęła dalej, otrząsając ze ścian pleśń i kurz; zapalka rozświeciła na chwilę zakątki i zgasła, ale Marek już drugiej nie zapalał. Dojrzał na ziemi, z głową na akmieniu, leżącą postać dziewczyny, bez ruchu już, jak martwą.

W ciemności padł na kolana przy niej.

— O Boże! O Boże! — wyjąkał wybuchem całej duszy. — Czy jest lepszy ojciec jak Ty, i lepszy Pan? O Boże, Boże!

Chwilę rozszalały, obezwładniony szczęściem, jak przedtem rozpaczą, klęczał z czołem w prochu, potem krew buchnęła mu do zękanego serca i rozplynęła się jak fale ożywe, gorące, młode, pełne woli i energii.

Na ręce wziął tę swą zgubioną, a odzyskaną cudem i ruszył do wyjścia.

Noc zupełnie zapadła. Irenka omdlała, bez uczucia, zwiśla mu w ramionach. Podtrzymując ją jedną ręką, mozolnie wydobył się na świat i tam złożył na ziemi. Omdlenie przeraziło go; chwilę stał, nie wiedząc co robić i odpędzając Margasa, który z całą świadomością, że on to był istotnym wybawcą, lizał ją po rękach i skakał wokół.

Świeże powietrze i chłód nocy orzeźwiło dziewczynę. Życie wróciło jej na twarz, i narreszcie z westchnieniem otworzyła oczy. Mi- zerne oblicze ponurego człowieka pochyliło się nad nią, pełne blasków i szczęśliwości, a głos, brząający niezmierną czułością, zapytał z cicha:

— Czy panią co boli?

— Nogę zwicnęłam, padając... okropnie boli. Czy to już późno? — odparła słabym głosem, próbując się uśmiechnąć.

— Około dziewiątej godziny. Dobę szukamy pani! Gorsza niż wiek taka doba! — rzekł głucho.

— O, wierzę, bo i mnie się tak wydało, ale byłam pewna, że pan mnie znajdzie! Żeby nie ta noga, do byłabym się sama może! Ale z bólem tym nie mogłam się ruszyć, ani głośno wołać ratunku. Jęczałam i mdlałam na przemiany. Pięć mi się chciało okropnie i narreszcie płakałam w poczuciu swej bezsilności.

Tak mi wstrętnem było zginąć podobnie! Aż gdy postyszałam psa, poczułam, że to Margas i pan, ale już sił nie miałam wołać! Och, jak to miło żyć!...

Odetchnęła i wzdrygnęła się cała.

— Jak tu zimno! — szepnęła.

— Można panią zanieść do domu? — spytał nieśmiało.

— Przecież pan mnie tu nie rzuci, a ja iść nie mogę. Ależ pan pokaleczony i obdarty. Gdzie pan surdut i czapkę zgubił?

— Nie nie wiem, co się ze mną działo od wczoraj! — odparł, uśmiechając się.

Wziął ją na ręce, jak piórko, i ruszył, nie czując ciężaru, kierując się na huk rzeki.

— Jak zimno! — szepnęła po chwili.

Nie miał czem jej otulić, ale w piersi biło mu gorące serce wielką miłością, co już wszystko zwyciężyła.

— Czemu pan się uśmiecha? — spytała spoglądając ku niemu.

— Ze szczęścia! — odparł wesolo i szczerze.

Zamilkła na chwilę.

— Przed dwoma miesiącami czemu pan go nie czuł? Nie się nie zmieniło! A ten czas jak nam zszedł obojgu? Czy bardzo miło panu, bo mnie to wcale! Codziennie myślałam, że pan przyjdzie i smutniej mi było z dnia na dzień! Zawiodłam się na panu, miałam za lepszego, niż jesteś w istocie. I teraz może odnie- sie mnie pan do pustego domu i uspokojony pożegna na zawsze i odejdzie pyszny i dumny? Nie będę się nawet dziwiła!

— Jpż nie odejdę i nie dumny jestem... Wolę znieść ludzkie oszczerstwa, rolę sługi, rezydenta, co pani każe, ale drugiej takiej do- by nie zniosę! Silny jestem, ale nie na takie rozpaczce; wytrzymałam, ale nie na taką mękę! Pani mówiła kiedyś, że duszę mam w żar trzeba włożyć, by zmiękla... Wykuła ją na taką mę- dłą, jak pani chciała, ta noc i dzień... Jest potęga co mnie zmogła i takim wobec niej pokrony, jak małe dziecko!...

Mówił to urywając i wahając. Miała prawo i sposobność zemścić się na nim za da- wną odmowę, podrożyć się teraz ze sobą. U- śmiechnęła się wprawdzie z tryumfem, ale za- miast odwetu, objęła go rękoma za szyję i po- łożyła ciemnowłosą głowę na jego ramieniu, a on, mimowoli, niezdolny słowa wymówić, przycisnął ją silniej do piersi drgającej szale- nie.

— Bardzo panią noga boli? — zagadnął po chwili z cicha.

— Zapomniałam! — odparła — sądzę je- dnak, że bardzo będzie bolała potem, w Po- świciu. Teraz mi tak dobrze... Ale panu pe- wnie ciężko dźwigać taki ciężar?

— Czy ja co dźwigam?... — rzekł weso- ło — zapomniałem! Będzie mi ciężko potem — w Poświciu!...

Uśmiechnęli się oboje sobie w oczy.

— Już nie będziesz krytykował bojek, Wejdawucie! — rzuciła żartobliwie. — Gdzie znajdziesz teraz miejsce na otchłań między nami? Jedną mamy drogę przed sobą, jeden cel, jedno serce... Czy ci czego brak jeszcze? Tak dobrze żyć na świecie... Tak dobrze!...

— Tak dobrze! — powtórzył półgłosem, ogarniając ją spojrzeniem.

— Kto panu doniósł o mojem zniknięciu? — zagadnęła po chwili.

— Sawgard wczoraj wieczorem. Przez te dwa miesiące borykałem się sam z sobą; głupi, myślałem, że zmogę kochanie... i takie! Dzień i noc pracowałem, zebrałem znowu ty- siące, rósł mi grosz w dłoniach, a słabość w duszy. Boże, Boże! co to za męka! I na co się zdała?... Omijałem Poświcie, drzałem na myśl przypadkowego spotkania się z panią! I cóż z tego?... Nocą, jak złodziej, płynąłem do parku przekradałem się gęstwiną, by na

dom popatrzeć; trzy razy byłem, przeklinałem siebie, pogardałem i po paru tygodniach sze- dłem znowu... Oto moja siła i wola!

Ręce Irenki zacisnęły się mocniej na jego szyi, około swych ust poczuł jej oddech — jak pożar przeszedł mu on po tętnach i twarzy!

Pochylił się nieco i ten chłodny, dumny, olimpijsko spokojny człowiek sam się nie spo- strzegł ani opamiętał, jak ucałował usta swej królowny gorąco i długo, rozszalały szczę- ściem i kochaniem...

Potem nie mówili nic więcej. On może karał siebie za ten brak woli i sił, ona uśmie- chała się z głową na jego ramieniu i marzyła, nie troszcząc się o drogę, o ból nogi, o noc po- nurą wokół. Nie skarżyła się na chłód nawet.

Nagle ocknęła się, bo on stanął.

— Gdzie my jesteśmy? — spytała obojęt- nie.

— Nad rzeką; muszę panią tu zostawić i poszukać na wybrzeżu czołna. Nie boi się pani?

— Ja się niczego nie boję! Alboż pan nie ze mną, blisko?... Proszę mnie położyć pod drzewem i zostawić mi naszego psa. Będę cze- kać cierpliwie.

Umieścił ją troskliwie, a sam pobiegł kłu- sem. Nie upłynęło kilku minut, zapluskalo wiosło. Rzeka ich porwała i poniosła w stron- ę Poświcia.

W parku wziął ją znowu na ręce. We- dworze nie spano. Sawgard ze służbą płakali w oficynie, po dziedzińcu snuli się ludzie, wzburzeni wypadkiem. Raptem, wśród tych szeptów, głuchej nocy i snujących się postaci, zabrzmiał, jak trąba anielska, donośny głos Czertwana:

— Ludzie! Otwierać dom! Gdzie Saw- gard?

— Jezu Nazareński! Panienska! — za- wrzeszczał dzikim głosem pierwszy, co się zbliżył.

Powstał zgiełk nie do opisania. Zawrzało jak w kotle. Potracili wszyscy głowy. Filemon biegał, jak młody, Sawgard to śmiał się, to szlochał.

Krzyżowały się tysiące zapytań, opowia- dań, rad, wykrzykników. Znosił każdy jadło, napoje, drzewo do komina, bandaże, szarpie, cudowne odvary, a wśród tego Irenka się śmiała uszczęśliwiona, wzruszona tą troskli- wością, a Marek patrzył w nią, jak w słońce, i promieniał.

— Na to zwicnięcie nikt nie pomoże bez mojej ciotki — rzekł wreszcie. — Niech Just- ka ułoży panienkę, a ja pobiegnę do domu i ciotkę przysię.

— Chwilę jeszcze — zaprotestowała I- renka. — Założą konie dla pana, a tymczasem spożyjemy we dwoje swą zaręczynową ucztę...

W pół godziny potem pędził Marek, co koń wyskoczy, na plebanię.

I tam czuwano jeszcze, bo się zaczynało o niego niepokoić, i Rymko właśnie z Greni- sem mieli iść na poszukiwania.

Wpadł do stancyi jak burza.

— Dobry wieczór — pozdrowił wesoło.

Struchleli. Na myśl im przyszło, że osza- lał...

— Żyje panna Orwidówna! — zawołał, chyląc im się do rąk.

— Matko cudowna! — krzyknął Ragis, wytrzeszczając oczy — a ty ją gdzie wynala- złeś? I pociło my się tyle nagryźli!...

— W lochy wpadła przypadkiem, tam, w jerynowym gąszczu.

— To zawsze tak z łakomstwa. Ma się rozumieć: "Chciało się Zosi jagódek!" A tu jegomość o mszy żalobnej rozmyślał! Skara- nie Boże z dziećmi i kobietami!...

— Chwała cudownej Paniencie! — rzekła panna Aneta — a czy zdrowa biedaczka? Tyle godzin strachu o głódzie i chłodzie!